

przy niej, bo ścirowała. Cierpiała. Była nieszczęśliwa i niespełniona w jednej konkretnej, pieprzonej dziedzinie życia. Czuła się wybrakowana i pusta w środku. Dlatego tego potrzebowała. Zakupów. Nowej sukienki. I...

Paulina wzdrygnęła się na dźwięk sms-a. Wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła telefon. Sprzedawczyni właśnie podawała jej zapakowaną w elegancką torbę sukienkę. Paulina skinęła głową i wyszła ze sklepu. Dopiero na zewnątrz zerknęła na wyświetlacz. On. Napisał, gdzie na nią czeka. Uśmiechnęła się. Kiedy szła przez parking w stronę samochodu, podśpiewywała pod nosem *Say You Love Me* Jassie Ware.

Całkiem niedawno śniło jej się, że słuchała tej piosenki w samolocie, a za oknem kłębiły się chmury. Nie miała pojęcia, dokąd leci.

#### 4. Po przebudzeniu

A.

Myslałem, że mi się przyśni. Chciałem tego. Zastanawiałem się nawet, czy można sprowokować sen. Wreszcie poddałem się i uznałem, że to bez sensu. Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Wstałem z łóżka i – wbrew swoim postanowieniom – zajrzałem do lodówki. Zmrużyłem oczy, oslepiony światłem, po czym wydobylem ze środka pomarańcze, cytryny, banany i mały dziwny kształt, który chyba był pitają. Jeszcze kilka dni temu nie miałem pojęcia, że istnieje coś takiego jak pitaja, ale moją wiedzę na temat owoców świata poszerzyła kosmetyka. A dokładnie – żel pod prysznic o zapachu „granat & pitaja”. Później zerknąłem w Google’a i co nieco na temat pitai przeczytałem, a jeszcze później zakupiłem ową roślinę w delikatesach.

Teraz przyglądam się jej niemal z niechęcią. Pitaja. Chyba mi całkiem odbiło.

Wzruszam ramionami i biorę się za obieranie owoców ze skórek. Wydaje mi się, że dzięki takiej prostej motorycznej czynności przestanę myśleć o Elizie Ostaszewskiej. Myślenie o niej jest zupełnie idiotyczne. Nie widziałem tej dziewczyny od siedmiu lat, czyli mniej więcej od zakończenia studiów. A na studiach... nie byliśmy ze sobą blisko. Zawsze mi się podobała, to fakt. Wydawała się inna od całej tej uczelnianej „reszty”. Nosiała śmieszne swetry, była chuda i płaska, miała wyraziste kości policzkowe, bladą cerę, na głowie rude afro, a oczy – prawie granatowe. Osobliwa kombinacja. Eliza nie była klasyczną pięknoscią. A jednak miała w sobie coś, co na zawsze kazało mi zapamiętać te prawie granatowe oczy i rude afro. Kiedy pojawiała się w pobliżu, nie potrafiłem oderwać od niej wzroku. Kiedy się odzywała, zachłannie łąwiłem każde słowo. Często mówiła dokładnie to, co ja sam chciałem powiedzieć. Okradała mnie z myśli, emocji i celnych puent. Podziwiałem ją. Myślałem, że to widać i że ona wiedziała. Nie mam pojęcia, na co czekałem. Ona przecież także na mnie reagowała. Zauważyłem to kilkakrotnie. Błysk w oku, odrobinę zbyt nerwowe ruchy, ściągnięte łopatki, palce w rudych włosach, uśmiech promienny i szereki, marudzenie w szatni i długie wkładanie rękawiczek, kiedy ja akurat ukazałem się na końcu korytarza. Wszystko po to, by choć przez sekundę dzielić wspólną przestrzeń. Z pewnością się nie myliłem. Robiłem dokładnie to samo. Zaciskałem palce na kłamce, na którą wcześniej spadła jej dłoń. Niby przypadkiem.

Raz, w czytelnicy, spojrzała mi prosto w oczy.

Ale to było dlatego, że wylałem kawę na jej notatki i tomik poezji Baudelaire’a...

Nigdy wcześniej niczego takiego nie czułem. Najpierw serce zupełnie przestało mi bić, a później krew ze wszystkich tętnic i żył zaczęła płynąć wściekłym strumieniem w stronę policzków. Rumieńce paliły moją skórę żywym ogniem. Eliza patrzyła. Czas stanął w miejscu.

Właśnie ten moment uznałem za najdoskonalszy z doskonałych. Zignorowałem to, że prawdopodobnie wyglądam jak tępą burak, i otworzyłem usta. Wiedziałem, co mówić, w końcu kształciłem się na adwokata i gadkę miałem zawsze bardzo efektowną. Niestety! Z moich otwartych ust – i na przekór buraczanym policzkom – nie wysypały się żadne gładkie słówka. Na drugim końcu czytelni uaktywniła się bowiem Harpia. Najstarsza i najwredniejsza bibliotekarka świata. Mocarna, wszechwładna i nie do ruszenia. Harpia, która wiecznie syczała, że jeśli będę takimi bazgrołami wypisywał rewersy do biblioteki, to ona mi już więcej żadnej książki nie wypożyczy! Powiniennem nauczyć się najpierw czytelnie stawiać litery, a dopiero potem brać się za studia wyższe! Bo to kulturoznawstwo przecież! A nie medycyna! I ona hieroglifów lekarskich odczytywać nie zamierza. Wystarczy jej na receptach, które dostaje od swojego gastrologa. Przez chwilę na serio myślałem, że powie: „psychiatry”.

Harpia zatem uaktywniła się na drugim końcu czytelni i zaczęła kuśtykać w moją stronę, unosząc dłoń i wysuwając zakrzywiony, szponiasty, drżący palec. Syczała. To oczywiste. Zawsze syczała. Kiedy tylko ją zobaczyłem, natychmiast zrobiło mi się zimno. W popłochu spojrzałem na swój przewrócony kubek, mokre notatki Elizy i...

„O Jezzu!” – pomyślałem. A sekundę później: „Ja pierdolę”.

Na stoliku spoczywało coś jeszcze. Coś, co wysało w siebie moją cholerną kawę. Coś, co zmieniało się z wolna w beżową mokrą szmatę. Coś, co wcześniej – przed fazą mokrej szmaty – było tomikiem poezji Baudelaire’a! Zabytkowym, unikatowym wydaniem, pojedynczym egzemplarzem dostępnym tylko w pieprzonej czytelni! Wszystko wokół zasnęła mgła. To znaczy nie wiem, czy tę mgłę widzieli inni, ale ja widziałem ją bardzo wyraźnie. We mgle poza mną były tylko Eliza i Harpia. Eliza wreszcie zorientowała się w sytuacji, zatrzepotała rzęsami i zerwała się z krzesła. Wysypała wszystko ze swojej torby, chwyciła paczkę chusteczek i podjęła trud osuszania nieszczęsnego

Baudelaire'a. Przez mleko otulającej mnie mgły dostrzegłem jeszcze kilka wersów. To była *Fontanna krwi*. Jakże adekwatna w obliczu tego, co mogła mi zrobić Harpia...

*Niekiedy zdaje mi się, że krwi mojej fale  
Uchodzą gdzieś ze mnie, słyszę ich rytmiczne żale,  
Jak bijącej fontanny przeciągłe westchnienia,  
Ale na próżno rany szukam bez wytchnienia.<sup>1</sup>*

No tak, faktycznie „krwi fale” tańczyły w moich żyłach tango, a ich rytmiczne żale układały się jakoś dziwnie pod melodię kroków starej bibliotekarki. Nie miałem też absolutnie żadnych wątpliwości, że kiedy Harpia wreszcie dotrze do celu, spadną na mnie również wszystkie te bijące fontanny i przeciągłe westchnienia. A rana z pewnością gdzieś się znajdzie i nie będę próżno jej szukał. Harpia zada mi cios tym swoim zakrzywionym szponem. Spuściłem głowę, gotowy na śmierć.

I wtedy jeszcze raz zerknąłem na stolik, przy którym Eliza usiłowała osuszyć Baudelaire'a. Na blacie pyszniła się cała zawartość jej przepastnej torby. Portfel, klucze, chusteczki, telefon komórkowy, kolorowa apaszka, notatnik, *Targowisko próżności* Thackeraya i zdjęcie jakiegoś faceta.

Tak. Zdjęcie faceta.

Eliza zakończyła czynności osuszające prawie w tym samym momencie, w którym dotarła do nas Harpia. Zakrzywiony szpon wycelowała prosto we mnie. Eliza zamachała rękami.

– To nasza wspólna wina. Ja... ja... miałam wysunięte krzesło i on się potknął. Albert. Albert się potknął – wydukała i wyciągnęła przed siebie utopionego w kawie Baudelaire'a.

Harpia łypnęła złowrogo i chwyciła w dwa palce nieszczęsny tomik. Przełknąłem ślinę.

1 Charles Baudelaire, *Fontanna krwi* (fr.), tłum. Maria Leśniewska.

– Nie, to moja wina. Tylko moja. Nie patrzyłem, dokąd idę i... i...

– I... i...? Co to znaczy: „nie patrzyłem, dokąd idę”? Było panu wszystko jedno, gdzie pan się znajdzie!?

– To znaczy nie. W stronę drzwi szedłem. – Zabrzmiało to prawie jak „w stronę słońca”. Ponownie przełknąłem ślinę. Tym razem z trudem. – Tylko jakoś było mi obojętnie, któredy – plątałem się w zeznaniach, a ludzie wokół chichotali.

– Chryste – jęknęła Harpia, szukając wsparcia w Majestacie. Na próżno.

– Nie widziałem Elizy i jej wysuniętego krzesła – kłamałem dalej, bo źle znosiłem tę ciszę i chichoty. – Zagapiłem się... zagapiłem... na tamtą dziewczynę. O! Tamtą! – Wskazałem siedzącą nieopodal ładną blondynkę. – No, sama pani rozumie... Odkupię tę książkę!

– Odkupię?! Czy ty wiesz, smarkaczu jeden z dysgrafią, że to unikat?! – Oczy Harpii zaszyły mgłą. Albo też ja nadal wszędzie widziałem mgłę.

– No to kupię coś innego – rzuciłem w desperacji i pośpiesznie zebrałem swoje rzeczy. – Przybyszewski też jest rzadki. A ja wiem, gdzie można dostać „Dzieci szatana” w dobrej cenie...

W czytelnicy zapadła głucha cisza. Kiwnąłem głową oniemiałej z oburzenia Harpii i zerknąłem na Elizę, która jednak na mnie nie patrzyła. Spoglądała gdzieś dalej. W przestrzeń poza moimi plecami.

Obieram owoce i kroję je na mniejsze kawałki. Uruchamiam sokowirówkę. Nic nie pomaga. Ani obieranie, ani krojenie, ani wyjący dźwięk urządzenia. Myślę o Elizie i tamtym wydarzeniu w czytelnicy. To dziwne, jak niewiele czasem trzeba, by obudzić wspomnienia, które dotąd wypełniały najodleglejsze zakątki naszego umysłu. Wystarczy pojedynczy impuls. A później już tylko lawina nieprzewidzianych organicznych reakcji, która przykrywa wszystko.

Impuls pojawił się wczoraj. Zobaczyłem Elizę, po raz pierwszy od zakończenia studiów. Wcześniej kilka razy mignęła mi gdzieś na tle panoramy Wrocławia. W jakiejś galerii... Chyba w Muzeum Narodowym. Ale zanim sobie uświadomiłem, że to Eliza, jej już nie było. Wczoraj natomiast sytuacja wyglądała inaczej. Przechodziłem obok knajpy Sosnowa Szafa i dostrzegłem ją przez szybę. Nie sądzę, bym w tamtej kobiecie od razu rozpoznał właśnie Elizę Ostaszewską. Miała wprawdzie podobne włosy i taką samą tyczkowatą figurę, ale równie dobrze mógł to być ktoś zupełnie inny. Mówiła do mikrofonu, a w Sosnowej Szafie odbywała się jakaś impreza. Spojrzałem na kartkę w witrynie. „Wieczór autorski poetki Elizy Ostaszewskiej” – przeczytałem. A niech to! Jednak ona. I w dodatku jest poetką. Czyżby ją wzięło na pisanie wierszy po tym utopionym Baudelaire?

Zbliżyłem czoło do szyby i zerknąłem do środka. W Sosnowej Szafie siedziało jakieś uduchowione towarzystwo, kobiety ubrane w pstrokate apaszki, mężczyźni z dredami, pod ścianą grupka hipsterów. Przeniosłem wzrok na swój garnitur za sześć tysięcy złotych. No... cóż. Nie byłem chyba odpowiednio ubrany. Mimo to po cichutku wsunąłem się do środka. Wzdłuż ściany przemknąłem do baru, zamówiłem wodę mineralną i kawę. Nie zaszalałem, ale do Rynku przyjechałem samochodem. Na spotkanie biznesowe, oczywiście. Moje spotkania z bliźnimi mają głównie charakter biznesowy. Ale wtedy to jedno konkretne zupełnie wypadło mi z głowy. Piłem kawę i słuchałem Elizy. Mówiła o swoich wierszach, o tym, że powstały na przestrzeni ostatnich dwunastu lat i zawiera się w nich jej życie... Jej przemyślenia, refleksje, lęki i radości. I również o tym, że jej poezja nie jest żadną terapią ani nie spełnia funkcji dydaktycznej. Mądre słowa. Hipsterzy pod ścianą kiwali głowami tak zamaszycie, że prawie im pospadały te gigantyczne okulary i wełniane czapki (jest maj; wełniane czapki w maju nigdy nie przestaną mnie zadziwiać). Ja również kiwałem. Zapamiętałem jej słowa, zwłaszcza te o funkcji terapeutycznej.

Jakoś nie uwierzyłem Elizie. Nie wiem dlaczego. Później ludzie zadawali pytania. Dziewczyna w pstrokatej apaszce, chłopak z dredami i jeden z hipsterów. I jeszcze ktoś. Zastanawiałem się, czy Eliza jako poetka była znana ogólnie, czy też była znana tylko w Sosnowej Szafie, wśród tubylców.

Dopiłem kawę i nakłoniłem barmana, by kupił dla mnie jeden tomik. Dodałem, że mam na imię Albert. Nie wiem, po co. Chyba chciałem dedykację. A barman nie wysilił się z myśleniem, kiedy o nią poprosił, i bardzo inteligentnie rzucił: „dla Alberta”. No to Eliza napisała: „Dla Alberta, w podziękowaniu za najlepsze drinki na świecie, które poprawiły mi humor w niejeden smutny wieczór”.

Bez komentarza.

Barman chichrał się z tego przez jakieś pół godziny, a kiedy nieco się uspokoił, rzekł:

– Stary, idź tam i kup se tę książkę po ludzku, co? Chyba cię stać na drugą?

Pokręciłem głową i schowałem do teczki egzemplarz z dedykacją dla „Alberta-barmana”. Jak się ma głupie pomysły i wciąż w nie osoby trzecie, to później trzeba ponosić konsekwencje. Wychyliłem wodę i zostawiłem napiwek, za który można by było kupić jeszcze dwa tomiki Elizy. Wyszedłem z baru w nastroju wisielczym i obrażony na cały świat.

Na spotkanie biznesowe wpadłem spóźniony, ponury i chyba wydzielałem kiepskie fluidy, bo umowy w efekcie nie podpisaliśmy. Panowie musieli się zastanowić i rozważyć ofertę konkurencji. Powodzenia!

\* \* \*

Sok sływa do dzbanka i kuchnię wypełnia zapach cytrusów. Otwieram szafkę, wydaję z niej wysoką szklankę, a w drzwiach miga mi postać w gustownej jedwabnej koszuli nocnej. Udaję, że jej nie widzę. Boję się. A jeśli ona wie, o kim myślę?

Stawiam szklankę na blacie, dłonie chowam do kieszeni spodni od piżamy i czekam na burzę. Zawsze łatwiej mi się kłamię, kiedy nie widać moich rąk. Ale tym razem nie drżą. Jestem dziwnie spokojny, w przeciwieństwie do niej. Ładna, wysportowana blondynka obrzuca zdumionym spojrzeniem kuchnię, blat, sokowirówkę i dzbanek. Podchodzi do mnie i stuka się w czoło.

– Albercie, jest druga w nocy! Soku ci się zachciało?! Czy ciebie do reszty popierdoliło?!

Wzruszam ramionami i uśmiecham się przeprasząco. Często pyta, czy mnie popierdoliło, więc nie jest bardziej zła niż zazwyczaj. Liczę na to, że sprawa rozejdzie się po kościach, bo nie mam ochoty na awanturę. Coraz rzadziej stawiam opór, a ona coraz częściej krzyczy. Chyba powinienem jednak zmienić metodę działania.

Ciekawi mnie, czy Eliza Ostaszewska pamięta tamto wydarzenie z kawą i Baudelaire’em. Tamtą chwilę w czytelnii. Ja pamiętam ją doskonale. Nie mam pojęcia, dlaczego wtedy wypowiedziałem tych kilka urwanych fraz o dziewczynie, na którą się zaga-piłem, i przez którą nie zauważyłem wysuniętego krzesła Elizy. Zamierzałem przecież zrobić rzecz zupełnie inną. Planowałem przeprosić Elizę i zaproponować... coś. Kawa byłaby w tamtej sytuacji trochę nie na miejscu (zważywszy na Baudelaire’a), ale herbata? Ciastko? Pizza? Piwo wieczorem? Miałem znakomity pretekst. Przeprosiny. Rekompensata za zniszczone notatki. Wszystko układało się idealnie. Ale wtedy zobaczyłem zdjęcie faceta, które wypadło z jej torby. Eliza kogoś miała. Nie nosiłaby przecież przy sobie fotografii gościa, który był dla niej zupełnie nieważny. Na gwiazdora filmowego nie wyglądał, na modela jeszcze mniej. A zatem prawdopodobnie był to jej chłopak. Poczuję się idiotycznie.

Wszystko przestało się nagle idealnie układać.

Ciekawe, czy Eliza zapamiętała tę chwilę równie dobrze, jak ja?



Ja zapamiętałem doskonale.

To właśnie wtedy zwróciłem uwagę na Paulinę. Moją obecną żonę.

## *5. Niepewność piękniejsza*

Agata Bukowska czuła się coraz bardziej podenerwowana. Tego dnia ruda kobieta z lokami miała przyjechać do szpitala. Taki był plan. A plany czasem się sypią. Agata wciąż obracała w myślach to zdanie. Nie potrafiła się na niczym skupić i od godziny rysowała drzewka na marginesie zeszytu do matematyki. Wiedziała, że powinna choć spróbować rozwiązać to durne zadanie, ale efekt była w stanie przewidzieć w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko zacznie się bardzo dobrze. Liczby wydadzą się przyjazne, a plusy, minusy i ikсы – łagodne i niegroźne. Później coś się zepsuje. Agata zapomni o jakimś iksie albo plusie, ewentualnie o sprowadzeniu wszystkiego do wspólnego mianownika. Z prostego na pozór równania zrobią się krzaki. A na końcu ukaże się wynik, o którym nie śniło się autorowi zadania. Agata zawsze realizowała z matematyką ten sam scenariusz i wcale nie pocieszał jej fakt, że w szkole miała fory z uwagi na sytuację rodzinną. W dupie miała fory. Była matematycznie upośledzona i coś należało z tym zrobić. Od miesiąca już nie pokazała się na korepetycjach u swojego prywatnego nauczyciela, zwanego krótko Dziadkiem. A to dlatego, że matce się pogorszyło i trzeba było się skupić na tym, co ważne. Ale Agata wiedziała, że długo bez prywatnych lekcji nie pociągnie. Jej korepetytor, emerytowany profesor matematyki, wciąż wprawdzie podsyłał nowe zadania, ale podsyłać to sobie mógł... Co miała z nimi niby zrobić? Powiesić na ścianie i wmawiać wszystkim, że to sztuka współczesna?!

Agata pomyślała, że kiedy powie o tym Elizie Ostaszewskiej, ona z pewnością zrozumie i...

Eliza. A jeśli się nie zgodzi? Jeśli nie będzie chciała nawet spróbować?

Odłożyła długopis i zaczęła obgryzać paznokcie, a znad pobliskiego biurka natychmiast uniosła się głowa ciotki Gabrieli. Cholera, że też ona zawsze wszystko widziała! Agata mieszkała u Gabrieli od miesiąca, tymczasowo, a przynajmniej tak to sobie wyobrażała. Nie wiedziała jednak, co myślała ciotka. Gapiła się teraz na nią uważnie. Agata schowała dłonie pod stół i uśmiechnęła się do Gabi. Udawanie zawsze lepiej jej wychodziło, kiedy ukrywała ręce. Jasna głowa ciotki z powrotem pochyliła się nad biurkiem. Z głośnika płynęła heavyfolkowa melodia, którą Gabriela cicho nuciła. Nie pasowały do siebie, ona i ta muzyka. A jednocześnie wszystko razem – ciotka, heavy folk i zagracona przestrzeń pseudogalerii – jakoś kleiły się w całość. Agata lubiła tutaj przebywać, choć wiedziała, że nie może i nie powinna zostać w tym miejscu na zawsze. Gabi była wspaniała, ale no... po prostu się nie nadawała. I tak naprawdę nie była jej ciotką.

Eliza Ostaszewska również nie była ciotką Agaty – prawdziwą ani nawet udawaną. Niemniej została „wybrana”. Musiała się na to wszystko zgodzić, bo miała wielkie granatowe oczy, do których bardzo pasowała empatia. Agata oglądała jej zdjęcia na fejsie przez całą noc, dlatego dzisiaj była taka niewyspana. A zdjęć było strasznie dużo, bo aż cztery... Oczywiście brała pod uwagę, że ta ruda kobieta może okazać się wredna, złośliwa i głupia, ale cóż... Po pierwsze i tak pozostawała najlepszą dostępną opcją, a po drugie raz na jakiś czas warto zaufać intuicji. A Agata miała przecucie. I oczywiście matka często gadała o Elizie. Że dawna przyjaźń, że taka silna, że głupio zakończona. Agata nie wnikała. Mniej więcej wiedziała, o co chodziło, i to wydało jej się nieskończenie nudne. No bo dlaczego zawsze musi chodzić o faceta? Ludzie mogliby się bardziej wysilić, kurde.

Przy biurku Gabrieli coś zaszumiało. Agata wzdrygnęła się i w popłochu otworzyła nieszczęsny zeszyt. Wołała udawać,

że odrabia lekcje, niż „porozmawiać o życiu”. Tak zawsze nazywała pogadanki z Gabi. „Rozmowy o życiu”. Ciotka Gabi była słodka i rozkosznie zakręcona, jak przystało na artystkę, ale nie miała za grosz wycucia. Zadawała natrętne pytania, drążyła, robiła smutne oczy i prosiła: „Powiedz coś”. Było to wkurzające. Agata nie mogła zacząć mówić, bo wtedy otworzyłaby puszkę Pandory, czy jak tam ją zwał. Na języku polskim ostatnio też nie potrafiła się skupić. Kazali im się nauczyć na pamięć wiersza o wojnie, a ona nie mogła przebrnąć przez tych kilka linijek, które opisywały śmierć młodego chłopaka. Oczywiście próbowała. Czytała i udawała, że oczy wcale nie zasły jej łzami, a gardło nie spuchło. Prawie się udusiła z tego udawania. A później wyszła do toalety, otworzyła okno i na nowo uczyła się oddychać.

Kroki Gabrieli ucichły. Ciotka zrezygnowała z rozmowy o życiu. Agata poczuła, jak cierpną jej ręce. Czy to już? Czy Eliza Ostaszewska już tam jest, czy rozmawia teraz z mamą? Co będzie następne? Jaka zapadnie decyzja?

Iksy, igreki, plusy, minusy. Sprowadzanie wszystkiego do wspólnego mianownika. Agata miała dopiero dwanaście lat, ale już nauczyła się, że w życiu działa się podobnie. Wszystko sprowadzało się do śmierci.

\* \* \*

Dla Heleny Bukowskiej dzień nie zaczął się dobrze. Po pierwsze – naprawdę źle się czuła. Tak źle, jak jeszcze nigdy. I dlatego bała się bardziej, niż się spodziewała. Myślała, że jej rola ograniczy się do przedstawienia Elizie propozycji i tyle. Koniec. Dalej to już słynne i wyświechtane „decyzja należy do ciebie”. A tymczasem musiała przyznać się do słabości. Odczuwała zwykły ludzki strach, bo zależało jej na powodzeniu całej tej absurdalnej misji. Zdążyła już przyzwyczaić się do myśli o Elizie i Agacie. Uformowała sobie w wyobraźni kilka takich widocz-  
ków, na których one dwie robiły coś razem.

Właśnie... Wyobraźnia. To było słowo klucz. Eliza istniała w wyobraźni Heleny. Sylwetka z dzieciństwa i ta późniejsza, dojrzała, sprzed trzynastu lat. Chuda. Rude włosy, trochę piegów, niewyparzona gęba i nieprzeciętna inteligencja, kłopotliwa wręcz i uwierająca. Eliza nie miała wielu znajomych, często odstraszała ludzi. Helena zazdrościła jej, zawsze czuła się gorsza i głupsza. A jednocześnie – paradoksalnie – kochała Elizę jak własną siostrę. Później stanął między nimi chłopak, czyli wydarzyło się to, co zazwyczaj dzieje się wśród młodych ludzi. Nic nowego na świecie. Odwieczny dylemat pod tytułem: „Czy mogę umawiać się z chłopakiem, w którym kocha się moja przyjaciółka?”. Eliza musiała zadawać sobie to pytanie setki razy, ale nie zdążyła udzielić odpowiedzi. Bo Helena okazała się w całym tym układzie bardziej przedsiębiorcza. Ona nie przeżywała dylematów i nie zadawała sobie kłopotliwych pytań. Nigdy nie miała natury filozofa. No i przecież ostatecznie to Helena wygrała. Rafał należał bardziej do niej niż do tamtej. Chłopak, który na każdym zdjęciu obejmuje i Elizę, i Helenę – demokratycznie, po równo. A mimo to i tak widać wyraźnie, do której bardziej go ciągnęło. Helenie robiło się przykro na myśl, jak bardzo banalna i nudna wydawała się ich historia.

Tak, wygrała. Rafał był bardziej jej niż Elizy. Przez chwilę. Później wszystko zakończyło się bardzo spektakularnie i dramatycznie, jak u Szekspira. Helena wyjechała. Dorobiła się, miała córkę. Eliza została tutaj zupełnie sama. Bez Heleny, bez Rafała, później też bez rodziców. Pracowała w bibliotece na pół etatu. Mieszkała w dwóch ciasnych pokoikach. Wydała jakiś tomik poetycki. Z czego ona żyła? Jak udało jej się przetrwać? I dlaczego biologia zdecydowała, że to Helenę należy wyeliminować z gry, skoro była osobnikiem o wiele lepiej przystosowanym do życia we współczesnym świecie?

Teraz rozumiała już w pełni, że nie miała czasu. Dokładnie tak. Nie że miała go mało. Po prostu w ogóle. Zostały jej migawki i okruchy. Chciała tego oszczędzić Agacie i dlatego cieszyła się, że młoda podjęła grę. Przyjemnie było tak oszukiwać

się z szacunkiem. „Wszystko się ułoży”. „To tylko kilka miesięcy”. „Później zrobimy to i to”. „Kiedy wrócę, pojedziemy...”. „Może kupimy psa?”. „Nie, lepiej kota, bo przecież myszy w domu”. Miło się rozmawiało o przyszłości, która miała nie nadejść. To prawie tak, jak gdyby mówić o Raju. Nie trzeba przycinać marzeń do wymogów rzeczywistości.

Szpitalna sąsiadka Heleny przyniosła kolorowe gazety. Na okładce aktorka. Helena uważała, że nie było jej do twarzy z nową fryzurą. Przez chwilę trzymała barwną okładkę blisko oczu. Od kilku dni gorzej widziała. Uprzedzali ją, że to się stanie.

Rzuciła gazetę na koldrę. Brakowało jej zapachu szamponu i lakieru do włosów, szumu suszarek i dotyku kosmyków przeslizgujących się między palcami. Brakowało salonu fryzjerskiego Helena, który od lat świetnie prosperował. Brakowało ludzi, którzy od rana parzyli kawę i nawijali jak nawiedzeni. O tym, co nowego w Biedronce i na Krymie, w Empiku i na Bliskim Wschodzie. Zawsze mogła na nich liczyć i nigdy się nie nudziła. Idealnie dobrała ekipę. Wiedziała, że Elizie Ostaszewskiej będzie z nimi ciężko... Zaraz się zacznie wycofywanie do skorupy z napisem: „Jestem alternatywną poetką, porozmawiajmy o czymś ambitnym”. Jezu no... Ona na pewno z czymś takim wyskoczy! Krym i Bliski Wschód może jeszcze jakoś zdzierzy, ale Biedronkę w życiu! Z pewnością aż tak się nie zmieniła przez ostatnich trzynaście lat, skoro pracowała w bibliotece, wydała tomik wierszy i wybrała samotność. Spróbowałaby normalności, przecież to nic nie boli.

Jaro, Fruzia, Nożycoręki, Vader i Pocahontas. Zjedzą Elizę na śniadanie. A ją, Helenę, zamordują.

Zamordują...? Nie ma takiej potrzeby. Ale i tak będzie musiała z nimi porozmawiać. Poprosić, żeby się nie wygłupiali i nie odstawiali szopki...

Nerwowo poprawiła chustę i spojrzała na zegarek. Jeszcze trochę czasu. Niewiele.

Do sali po cichu wsunął się lekarz o hrabiowskim nazwisku. Był na nią zły.

## 6. Ulice

E.

W życiu często bywa tak, że albo nie dzieje się nic, albo wszystko dzieje się naraz. Już to kiedyś przerabiałam i niestety „naraz” nie wiązało się z niczym dobrym. Raczej doświadczyłam losu Hiobowego, mówiąc patetycznie, choć Hiob po jakimś czasie we wszystkich swoich nieszczęściach widział sens i cel. Ja celu i sensu nie widzę nadal. Uważam, że to, co mnie spotkało, było okrutne, złe i potworne. Obraziłam się na fatum. Wciąż noszę w sobie poczucie cholernej dziejowej niesprawiedliwości i rzucaam na wiatr to samo, wielce oryginalne pytanie: „dlaczego ja”? Wiem, nie jestem jedyna. Nie histeryzuję. I nie ma w tym już rozpacz. Kiedy przestałam płakać, została mi tylko złość.

Moi rodzice odeszli równocześnie. Jak w greckiej tragedii. Ojciec miał zawał, a matka, zamiast zadzwonić na pogotowie, wpakowała go do auta, ruszyła i po mniej więcej trzech metrach zatrzymała się na słupie ogłoszeniowym. Nie zdążyła zapiąć pasów. Wiem oczywiście, że musiała przejechać więcej niż trzy metry, bo ponoć pędziła prawie sto na godzinę, a na tak krótkim dystansie nigdy nie osiągnęłaby nawet zbliżonej prędkości. Dla mnie jednak wszystko wydarzyło się szybko. Kilkanaście minut, krótki dystans, pisk opon i brzęk tłuczonego szkła. Straciłam rodzinę i zostałam sama. Niedużo czasu trzeba, żeby zmienił się cały świat. Oczywiście byli tacy, którzy próbowali obwinąć matkę. Po cholere wsiadła do auta, dlaczego nie karetka? Mnie o to pytali! Lekarze, policja. Rozmawiać im się chciało. Nie rozumiem, skąd pomysł, że ja również miałam na to ochotę. Musieli oślepnąć i zgłupieć. Nie widzieli mnie. Mojej sonej, brzydkiej od płaczu twarzy i zapuchniętych oczu, w których już przyczała się pustka. „Co pani teraz zrobi?” – brzęczało mi w uszach. Szlag by to jasny, no... A co miałam niby zrobić? Nikt nie podsunął mi żadnego dobrego pomysłu. Pytali, żeby nie milczeć.

Moja sytuacja nie była zbyt wesoła. Rodzice – nauczyciele – kokosów mi w spadku nie zostawili. Jakies skromne oszczędności i mieszkanie, M3 w gierkowskim bloku, w którym od zawsze cisnęliśmy się we troje. Nie miałam z tym problemu. Rodzice byli w porządku. Dwoje „profesorów” z powołania... Myślę o nich każdego dnia.

Kiedy odeszli, miałam dwadzieścia trzy lata. Na piątym roku studiów wykonywałam dorywcze prace i udzielałam korepetycji, żeby przetrwać. W tym byłam zawsze dobra. W przetrwaniu. Miałam silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy, potrafiłam mimo niesprzyjających warunków utrzymać się przy życiu we względnie zdrowiu psychicznym i fizycznym. Nie ukrywam, że bardzo pomagała mi w tym samotność. Wbrew pozorom w pewnych sytuacjach łatwiej jest przetrwać jednostce niż całemu stadu. A przynajmniej ja zawsze tak to sobie tłumaczyłam.

Bałam się naprawdę coś poczuć. Bałam się, że kogoś znowu pokocham i ten ktoś znowu odejdzie. Łatwiej więc było nie kochać nikogo. Kwalifikowałam się pewnie na jakąś terapię, ale... szczerze mówiąc, nie miałam ochoty się otrząsnąć. Ostatecznie przecież nie przeszłam załamania nerwowego. Nie poddałam się, byłam silna i wszyscy mnie za tę siłę podziwiali. Z daleka. Pasowało mi to. Trzymałam ludzi na dystans.

Pod koniec studiów dałam się wciągnąć w durny „związek” z Tomkiem. Właśnie tym chłopakiem, który kupił mi pod choinkę ekspres do kawy na kapsułki. Tomek liczył na coś więcej z mojej strony przez blisko pięć lat, aż w końcu skapitulował. Wyzwał mnie od niestabilnych emocjonalnie „nadętych lasek”. Nie wiem, dlaczego aż tak się uniósł, że musiał wyjechać na drugi koniec Polski. Nie kochał mnie przecież. I ja nie kochałam jego. Nie interesowałam się tym, co dalej z nami będzie, nie chciałam już rozkładać na czynniki pierwsze mojego strachu o kogoś. Wszyscy ci, których kochałam naprawdę, odeszli. Nie byłabym w stanie znieść tego ponownie. A przecież musiałam

przetrwać. Dla samej idei istnienia, by udowodnić sobie, że po-  
trafię i chcę nadal patrzeć na świat.

Wcześniej, jeszcze zanim zginęli moi rodzice, również ktoś  
odszedł. Ktoś, kogo kochałam i kto nigdy tak naprawdę nie był  
mój. A teraz wspomnienie o tym człowieku wróciło ze zdwo-  
joną siłą, wyraźne, kolorowe i głośne.

Po tym, jak wydarłam się do telefonu na obcego faceta, który  
sączył mi do ucha dziwną treść, doświadczyłam nagłego skoku  
ciśnienia. Miałam wrażenie, że oto (wreszcie!) trafił mnie jasny  
szlag. Wysłuchałam faceta do końca, już się na niego nie drąc,  
po czym wrzuciłam komórkę do torby i zaczęłam wysupływać  
się z piżamy. Musiałam jechać. Dostać się na Hirszfelda, do szpi-  
tala, i to jak najszybciej.

Wciągnęłam dzinsy i popielatą koszulkę, a włosy związałam  
na czubku głowy. Oczywiście „fryzura” natychmiast się rozwa-  
liła, a irytujące loczki rozsypały wokół twarzy. Nie znoszę ich.  
Przypominają mi, że nie nad wszystkim mogę mieć kontrolę.  
Po krótkim namyśle odwołałam smarkacza z korepetycji i za-  
proponowałam, by przyszedł w innym terminie. Czułam, że wy-  
cieczka na Hirszfelda przekształci się w całodzienną eskapadę.  
Zaczynała do mnie powoli docierać treść słów faceta z telefonu.  
Ale nie chciałam tego wszystkiego rozumieć. Mój umysł odrzu-  
cał dopiero co usłyszany komunikat. Niemniej pojechać mu-  
siałam. Choćby po to, by wszystko w cholerę wyjaśnić. By nie  
trawić bez końca słów faceta z telefonu. Jakiegoś – podobno – le-  
karza o dziwnie znajomym i jednocześnie nobliwym nazwisku.

Nigdy nie kreowałam się na wielkiego myśliciela-filozofa,  
ale uważam, że to naprawdę ciekawe, jak czasem uderza w nas  
przeszłość. W nocy śnił mi się Albert Dębski, a teraz zadzwonił  
ten obcy mężczyzna i mówił o Helenie. I jeszcze o Rafale.

Helena, Rafał i ja tworzyliśmy kiedyś (nie)świętą trójkę.  
Byliśmy nierozłączni. A później podzieliło nas to, co często  
dzieli przyjaciół z dzieciństwa. Zazdrość i miłość. Kochałam



Rafała i byłam pewna, że on kochał mnie. A jednak do łóżka poszedł z Heleną. „Seks jest czasem łatwiejszy z osobą, której się nie kocha”. Właśnie taką mądrością mnie uraczył, kiedy pewnego upalnego lipcowego dnia pływaliśmy kajakiem po Odrze. Pomyślałam, że bardzo ładnie wybrnął. Inteligentnie. Usprawiedliwił się z seksu, uczynił wyznanie pod moim adresem i jednocześnie przyznał do słabości. Co miałam myśleć? Nie wiedziałam. Postanowiłam nie myśleć w ogóle. Mieliśmy wtedy po dziewiętnaście lat i byliśmy świeżo po maturze. Wolałam raczej dumać nad tym, że świat tak pięknie stoi przed nami otworem. Ja zdałam egzamin na kulturoznawstwo, Rafał na anglistykę, a Helena poszła do studium fryzjerskiego. Ona miała głowę na karku i sprecyzowane plany na przyszłość – my marzyliśmy.

Byłam gotowa wspaniałomyślnie wybaczyć Rafałowi ten incydent z Heleną. Do mnie pasował bardziej, chciałam o niego zawalczyć. Nie przejmowałam się wówczas tym, że Helena jest moją przyjaciółką i że oboje możemy ją stracić, a po naszej (nie) świętej trójcy zostanie tylko wspomnienie.

I rzeczywiście – dokładnie tak się stało. Po (nie)świętej trójcy zostało wspomnienie, a my straciliśmy Helenę. Każde na swój sposób. Sprawy potoczyły się jednak inaczej, niż sobie wyobrażaliśmy. Zupełnie, zupełnie inaczej. Bez poważnych rozmów, przeprosin i zapewnień, że nikt nikogo nie chciał skrzywdzić. Bez młodzieńczych łez, płynących po dziewiętnastoletnich policzkach, bez udawania, że jesteśmy dorośli i znamy życie. Wydarzyło się coś innego. Coś złego.

A teraz jadę na Hirszfelda, do Heleny. Mój zdezelowany polonez caro wyje jak zarzynane prosię, kiedy wciskam gaz. Ten samochód jest już na wykończeniu. Mam tylko nadzieję, że wytrzyma jeszcze jeden dzień. Jeszcze dziś... Na mechanika nie mogę sobie teraz pozwolić, a o nowym aucie nawet nie mam co marzyć. Wydałam przecież pieniądze na cholerną poezję. Kiedy Carolina kaszle na światłach, zaczynam się modlić. Czy

coś w tym stylu. Byłe dojechać do szpitala. Proszę, proszę, byłe do szpitala, byłe jeszcze dzisiaj...

I właśnie w tej chwili po raz kolejny moje myśli zataczają krąg wokół Alberta Dębskiego. Przypomina mi się jego elegancka marynarka ze zdjęcia profilowego na Facebooku i modny krawat. Przypomina mi się sen, w którym Albert pyta o moje plany na przyszłość. I jeszcze...

Tamto wydarzenie. Kawa wylana na notatki, mokry i zabarwiony na beżowo Baudelaire, cisza w czytelni i zakrzywiony szpon Harpii. To było miesiąc po śmierci moich rodziców. Próbowалам poskładać się na nowo, zdefiniować od zera. Byłam niedoszłą poetką, studentką, korepetytorką, barmanką, kelnerką, kasjerką i sprzątaczką. Organizmem zdeterminowanym, by przetrwać nie wiadomo po co. Tam, w czytelni, byłam twarzą z innego zdjęcia, sztucznie doklejoną do portretu zbiorowego nieznanym mi ludzi.

A jednak wtedy, przez moment, miałam ochotę się rozsypać. Spojrzałam w oczy Alberta, który wylał kawę na moje notatki i zrobił się czerwony jak burak. Był zakłopotany, mimo to nie odwrócił wzroku. Wytrzymał moje spojrzenie. Zobaczyłam w jego oczach coś... Sama nie wiem, co. Ale wtedy naprawdę chciałam się poddać. Chciałam, by zapewnił mnie, że dam sobie ze wszystkim radę. Chciałam, by mnie objął i po prostu był blisko. To głupie. Nie znaliśmy się przecież, studiowaliśmy razem i tyle. Nie wiedziałam o nim zupełnie nic, on też niczego nie wiedział o mnie. O tym, że nie miałam pojęcia, jak ustosunkować się do własnej rozpacz, którą bardziej chyba obserwo-wałam, niż przeżywałam.

Nie znałam Alberta, a jednak poczułam coś dziwnego, jakąś niewyjaśnioną bliskość i zrozumienie. Wydawało mi się, że on też to poczuł. Pomyliłam się. Albert wydukał przed Harpią, że zapatrzył się na Paulinę Gliwę i dlatego nie zauważył mojego wysuniętego krzesła. Paulina Gliwa uniosła głowę znad książki, a kiedy Albert – odprowadzany zabójczym wzrokiem

Harpii – opuścił czytelnię, pobiegła za nim. I to by było na tyle, jeśli chodzi o nadnaturalne, metafizyczne połączenie dwu dusz. Pozbierałam ze stolika swoje rzeczy, wśród których znalazłam stare zdjęcie Rafała. Złożyłam je na pół, a później, na korytarzu, wyrzuciłam do kosza. Musiałam pozwolić cieniom odejść. Zwłaszcza Rafałowi.

Zginął przecież dawno temu.

Carolina stęka, kiedy wjeżdżam na wysoki krawężnik. Wyłączam silnik i wpatruję się w kompleks budynków szpitalnych na Hirszfelda. Tak. Dzisiaj jestem filozofem. To naprawdę dziwne, jak przeszłość niekiedy wraca do człowieka i uderza w niego ze zdwojoną siłą. Niczym dawno wypuszczony z rąk bumerang, o którym zdążyliśmy już zapomnieć.

## 7. Schody

Dagny Zander minęła Starbucksa, ulokowanego na parterze Magnolii. Była zmęczona. Od świtu opracowywała plan dyskretnego wymknięcia się z domu, ale przy sobocie okazało się to wcale niełatwe. Matka przyrządzała śniadanie w kuchni, nad którym ślęczała dłużej niż zwykle. Udawała, że się stara. Zgrywała wzorową mamuszkę, perfekcyjną panią domu. Dagny tylko czekała, aż zacznie robić sobie selfie nad kozim serem i umieszczać je na Facebooku. Bo przecież teraz należało dbać o pozory. Szczególna sytuacja. Delikatna sprawa. Córka okazała się czarną owcą i małą dziwką-pijaczką, a przecież oni dla niej wszystko! Pieniądze, dom, ciuchy. Wakacje. Kino. Wszystko! I tak im się odwdzięczyła? Co za wstyd! Matka oczywiście żadnej z tych rzeczy nie powiedziała głośno, a już zwłaszcza hała o dziwce-pijaczce. Ale tak właśnie myślała. Dagny znała ją dobrze. Matka lubiła robić dobre wrażenie. Dobre wrażenie było wszystkim, od niego zaczynał się i na nim kończył świat. Babrała się zatem w kozim serze, cykała selfie na Facebooka